

1

Wychodząc rankiem z domu, pan Verloc formalnie rzecz biorąc pozostawił sklep pod opieką szwagra. Mógł sobie na to pozwolić, bo bez względu na porę dnia miał bardzo niewielu klientów, przed wieczorem prawie nikt nie przychodził. Nie dbał przesadnie o swoją fikcyjną działalność gospodarczą – szwagier zaś pozostawał pod opieką jego żony.

Sklep, tak jak i dom, w którym się mieścił, był mały. Dom pana Verloca należał do tych paskudnych ceglanych budowli, jakich wiele stało dawniej w Londynie, zanim nadeszła epoka przebudowy, natomiast sklep przypominał kwadratowe pudełko, oszklone od frontu szybkami. Za dnia drzwi prowadzące do wnętrza były zamknięte – wieczorem stały nieznacznie, ale podejrzenie uchylone.

Na wystawie umieszczono fotografie mniej lub bardziej roznegliżowanych tancerek, paczuszki o nieznannej zawartości w opakowaniach, w jakich sprzedawano panacea, żółte, cieniuteńkie, zaklejone koperty, opatrzone zapisaną tłustymi, czarnymi cyframi ceną, opiewającą na dwa szylingi i sześć pensów, kilka numerów starych francuskich czasopism humorystycznych, wiszących na sznurku niby do wyschnięcia, obtłuczoną miseczkę z niebieskiej porcelany, czarną drewnianą kasetkę, buteleczki z tuszem, gumowe pieczętki, kilka książek, których tytuły sugerowały nieskromność, i stosik ewidentnie zdezaktualizowanych egzemplarzy mało popularnych i kiepsko wydrukowanych gazet o takich

pobudzających nazwach, jak „Pochodnia” czy „Gong”. Dwie lampy gazowe w sklepie zawsze paliły się tylko małym płomieniem – może ze względów oszczędnościowych, może zaś z uwagi na klientów.

A byli nimi albo bardzo młodzi ludzie, którzy najpierw kręcili się przez pewien czas przed wystawą, po czym nagle przemykali dyskretnie do wnętrza, albo mężczyźni starsi, lecz niewyglądający na śmierzących groszem. Postawione wysoko kołnierze palt niektórych spośród tych drugich sięgały aż ich wąsów, a dolne partie niższych części garderoby, sprawiających wrażenie mocno wyszmelcowanych i niewiele wartych, nosiły ślady błota. Nogi tkwiące w tych spodniach też na ogół nie przedstawiały się ciekawie. Goście pana Verloca, z rękami wciśniętymi głęboko w boczne kieszenie płaszcza, zakradali się do sklepu bokiem, podając do przodu lewy lub prawy bark, jak gdyby obawiali się obudzić dzwonek.

Wisiał nad drzwiami na spiralnej stalowej wstążce i z trudem dało się go obejść. Był beznadziejnie popękany, wieczorami wystarczyła jednak najmniejsza prowokacja, by zaczął brzęczeć za plecami klienta z beczelną zajadłością.

Brzęczał więc, i na ten sygnał za malowaną ladą, w zakurzonych szklanych drzwiach wiodących do salonu na zapleczu sklepu, zjawiał się spieszenie pan Verloc. Miał zawsze zaspasane oczy – można by pomyśleć, że przez cały dzień wylegiwał się w ubraniu na nieposłanym łóżku – i ktoś mógłby uznać taką powierzchowność za niezbyt korzystną, gdyż w handlu detalicznym od zachęcającego i sympatycznego wyglądu sprzedawcy wiele zależy. Pan Verloc wiedział wszakże, jak ma prowadzić swój sklep, i nie dręczyły go dotyczące własnej aparycji wątpliwości natury estetycznej. Ze stanowczą, opartą na niewzruszonym spojrzeniu zuchwałością, zdającą się oddalać jakieś obrzydliwe zagrożenie, stawał za ladą i sprzedawał coś – na przykład niewielkie, najprawdopodobniej puste tekturowe pudełeczko, starannie zaklejona, cieniutką żółtą

kopertę lub poplamioną książkę o obiecującym tytule – co bez wątplenia nie wydawało się warte skandalicznych kwot, jakie zmieniały właściciela w chwili transakcji. Od czasu do czasu w ręce takiego czy innego amatora trafiała też jedna z wyblakłych, pożółkłych tancerek niczym świeża, żywa istota z krwi i kości.

Niekiedy na zew pękniętego dzwonka zamiast pana Verloca przychodziła jego małżonka, Winnie. Szeroka w biodrach, młoda, odznaczała się obfitym biustem i chodziła w obcisłym staniku. Włosy miała zawsze ułożone wyjątkowo starannie. Z podobnie niewzruszonym spojrzeniem jak jej mąż zachowywała za obronnym wałem kontuaru minę znamionującą bezdenną obojętność. Szczególnie co bardziej młodociani klienci błyskawicznie tracili przy niej rezon, nie spodziewali się bowiem, że będzie obsługiwać ich kobieta, i piekląc się w głębi duszy, prosili Winnie o buteleczkę tuszu, wartą w detalu sześć pensów (jej cena w sklepie Verloca wynosiła aż o szylinga więcej), którą następnie wyrzucali ukradkiem, wyszedłszy na ulicę.

Goście wieczorni – mężczyźni z wysoko postawionymi kołnierzami i w mocno wciśniętych na głowę miękkich kapeluszach – familiarnie pozdrawiali panią Verloc skinieniem głowy, po czym mamrocząc słowa powitania, podnosili klapę na końcu lady, aby przeniknąć do salonu na zapleczu, skąd wychodziło się dalej na korytarz i strome schody. Sklepowe drzwi stanowiły jedyne wejście do tego domu, w którym pan Verloc sprzedawał rozmaite podejrzane towary, spełniał swoje powołanie obrońcy społeczeństwa i kultywował cnoty domowe. To, że je miał, widziało się gołym okiem. Był w pełni udomowiony. Nie żywił jakichkolwiek duchowych, intelektualnych czy fizycznych potrzeb, które skłaniałyby go do częstego wychodzenia z pieleszy, w których znajdował wygody i spokój sumienia, a także małżeńską troskliwość pani Verloc oraz uniżony szacunek ze strony jej rodzicielki.

Astmatyczna, przysadzista matka Winnie odznaczała się dużym, śniadym obliczem. Pod białym czepkiem nosiła czarną perukę, a obrzęk nóg zmuszał ją do prowadzenia siedzącego trybu życia. Uważała się za Francuzkę z pochodzenia i może naprawdę miała francuskie korzenie. Gdy po długoletnim pożyciu z karczmarzem o bardziej pospolitej proweniencji została wdową, zaczęła zarabiać na życie, wynajmując umeblowane pokoje dla panów w pobliżu Vauxhall Bridge Road, na niegdyś całkiem prestiżowym placu, wciąż należącym do dzielnicy Belgravia. Ten szczegół topograficzny stanowił swoisty atut dawanych przez znaną damę ogłoszeń o pokojach do wynajęcia, chociaż jej klienci nie zaliczali się raczej do śmietanki towarzyskiej. Byli, jacy byli, a Winnie pomagała matce się nimi zajmować. Echa rzekomo francuskiego pochodzenia, którym pyszniła się wdowa, dały się zauważyć także u jej córki, na przykład w wyjątkowo starannym i artystycznym uczesaniu lśniących, ciemnych włosów, choć Winnie miała również inne powaby: młodość, pełną, krągłą figurę, ładną cerę oraz prowokującą, niezgłębioną powściągliwość, chociaż nie aż tak skrajną, aby wykluczyć rozmowy, w których najemcy brali udział z ożywieniem, ona zaś z rzeczową uprzejmością. Pan Verloc bez wątpienia okazywał słabość wobec jej uroków, mimo że lokatorem był tylko okazjonalnym – pojawiał się i znikał bez żadnego widocznego powodu. Najczęściej przybywał do Londynu (jak grypa) z kontynentalnej Europy, tyle tylko, że jego nie anonsowała prasa. Wizyty pana Verloca bywały wyjątkowo uciążliwe. Śniadanie jadał w łóżku, w którym z miną zaświadczącą o milczącej rozkoszy wylegiwał się codziennie do południa, a czasem nawet dłużej. Kiedy już jednak wychodził, znalezienie drogi powrotnej do jego tymczasowego miejsca zamieszkania przy jednym z placów Belgravii najwyraźniej sprawiało mu znaczną trudność. Wychodził późno, wracał wcześniej – nawet o trzeciej albo czwartej w nocy – a obudziwszy się o dziesiątej przed południem,

zwracał się do wnoszącej mu śniadanie na tacy Winnie z żartobliwą, znużoną uprzejmością chrapliwym, łamiącym się głosem człowieka, który przez wiele godzin z rzędu wygłaszał płomienne przemowy. Tkliwie, chociaż ospale, przewracał przy tym wyłupiastymi oczami o ciężkich powiekach. Leżał z kołdrą podciągniętą pod brodę, a jego grube wargi, które często potrafiły prawić słodkie głupstwa, okalał ciemny, gładki zarost.

Zdaniem matki Winnie pan Verloc był wyjątkowo sympatycznym mężczyzną. Opierając się na swoich doświadczeniach życiowych, gromadzonych w różnych „zakładach gastronomicznych”, poczciwina wyrobiła sobie na emeryturze obraz idealnego dżentelmena, wzorowany na bywalcach ekskluzywnych barów. Pan Verloc zbliżał się do tego ideału – ba, wręcz go osiągnął.

– Oczywiście że weźmiemy twoje meble, mamó – oświadczyła Winnie.

Bo wynajem pokoi miał się skończyć. Wyglądało na to, że dalsze prowadzenie tej działalności nie będzie miało sensu, gdyż byłaby ona nazbyt kłopotliwa dla pana Verloca. I niewygodna, biorąc pod uwagę jego pracę zawodową. Wprawdzie nie powiedział, czym się trudni, ale po zaręczynach raczył wstawać przed dwunastą, schodził na dół do pokoju śniadaniowego, tam, gdzie matka Winnie wiodła swój siedzący żywot, i starał się być dla niej miły. Głaskał kota, rozgarniał węgle i nawet kazał sobie podawać lunch do sutereny. Cokolwiek duszną przytulność pokoju staruszki opuszczał z wyraźną niechęcią, chociaż bawił potem poza domem aż do późnej nocy. Ani razu nie zaproponował Winnie, by poszli do teatru, choć taki miły dżentelmen zapewne powinien to zrobić. Wieczory miał zajęte. Powiedział kiedyś żonie tylko tyle, że jego praca ma w pewnym sensie charakter polityczny. Upowiedział ją także, żeby okazywała szczególną uprzejmość jego politycznym znajomym – Winnie zaś, patrząc na niego

tym swoim uczciwym, niezgłębionym spojrzeniem, odpowiedziała, że będzie dla nich uprzejma, oczywiście.

Matce nie udało się dowiedzieć, co jeszcze powiedział córce pan Verloc o swojej pracy, choć oprócz mebli nowożeńcy wzięli do siebie także starszą panią. Zdumiała się, że sklep jest taki nędzny. Przenosiny z placu w Belgravii na wąską uliczkę w Soho zaszkoziły jej nogom: zrobiły się słoniowate. Za to całkowicie uwolniła się od trosk materialnych. Ociężała do brodusznosc zięcia dała jej poczucie absolutnego bezpieczeństwa, gdyż przyszłość córki została niewątpliwie zabezpieczona i wdowa nie musiała się już martwić nawet o swojego syna, Steviego. Nie potrafiła ukryć przed sobą, że nieszczęsny Stevie jest dla niej straszliwym ciężarem. Widząc miłość Winnie do nadwrażliwego brata oraz życzliwą i wielkoduszną postawę pana Verloca wobec chłopca uznała mimo wszystko, że biedaczysko będzie zupełnie bezpieczny na tym bezwzględny świecie. I w głębi serca może wcale nie była niezadowolona, że małżonkowie nie mają własnych dzieci. Panu Verlocowi kwestia potomstwa wydawała się doskonale obojętna, a Winnie znalazła obiekt poniekąd macierzyńskich uczuć w młodszym bracie, chyba z pożytkiem dla biednego Steviego.

Chłopak sprawiał bowiem trudności wychowawcze. Był nadwrażliwy, a chociaż słabowity, to także przystojny, jeśli nie zwracało się uwagi na jego bezmyślnie zwisającą dolną wargę. Dzięki naszemu wymienitemu brytyjskiemu systemowi obowiązkowego kształcenia nauczył się czytać i pisać. Nieatrakcyjna dolna warga w tym mu nie przeszkodziła, jednak jako chłopiec na posyłki nie odniósł znaczących sukcesów. Zapominał poleceń i łatwo zbaczał z prostej ścieżki obowiązku, ponieważ interesowały go bezpańskie psy i koty, za którymi wchodził wąskimi uliczkami na brzydkie podwórka; pociągaly go też uliczne komedie, którym przyglądał się z otwartymi ustami ze szkodą dla interesów swojego chlebowawcy, albo tragedie, jak padające z nóg konie, przy czym podniosłość

i gwałtowność tego widoku kazała mu niekiedy przeraźliwie krzyczeć w tłumie gapiów – ci zaś nie lubili, kiedy odgłosy rozpaczły przeskadzały im w cichym delektowaniu się ulubionym w całym kraju widowiskiem. Gdy chłopca odprowadzał do domu ponury, chociaż opiekuńczy policjant, często wychodziło na jaw, że biedny Stevie przynajmniej chwilowo nie pamięta, gdzie mieszka. Byle obcesowe pytanie sprawiało, że zaczynał jąkać się tak straszliwie, jakby miał się udusić, a przestraszony czymś, czego nie rozumiał, robił okropnego zeza. Nie dostawał jednak paroksyzmów (co pocieszające), w dzieciństwie zaś, kiedy uciekał przed całkowicie zrozumiałymi wybuchami zniecierpliwienia ze strony swojego ojca, zawsze mógł szukać schronienia za kusą spódnicą siostry. Mimo to można było podejrzewać, że w Steviem kryją się pokłady desperackiej krnąbrności. Gdy skończył czternaście lat, znajomy jego nieżyjącego już wtedy rodziciela, przedstawiciel zagranicznej firmy produkującej mleko skondensowane, dał mu posadę gońca, i pewnego mglistego popołudnia w czasie nieobecności szefa w pracy Stevie został przyłapany na schodach, gdzie z zapalem puszczał fajerwerki. Odpalał raz za razem groźne rakiety, gniewne ogniste koła oraz eksplodujące donośnie petardy – i mogło się to skończyć bardzo poważnie. W siedzibie firmy wybuchła wielka panika. Po zadymionych korytarzach pędziły z szaleństwem w oczach całe tabuny pracowników, a ze schodów osobno spadały cylindry i osobno leciwi dyrektorzy. Stevie nie wydawał się czerpać najmniejszej satysfakcji z tego, co zrobił. Nie udało się także znaleźć motywu dla jego jakże oryginalnego pomysłu. Dopiero później Winnie wyciągnęła z niego mało klarowne i chaotyczne wyznanie. Okazało się, że dwaj inni gońcy, pracujący w tym samym budynku, igrali z uczuciami chłopaka, opowiadając mu o niesprawiedliwości społecznej i ucisku klasowym, aż wreszcie wynieśli jego współczucie na poziom szaleństwa. Znajomy ojca z miejsca zwolnił wszakże

Steviego, widząc w nim pracownika, który mógł doprowadzić przedsiębiorstwo do ruiny. Po tym altruistycznym wyczynie chłopak trafił do kuchni w suterenie, gdzie miał pomagać w zmywaniu naczyń i pastować buty najemcom pokoi w Belgravii. W tego rodzaju pracy oczywiście nie było przyszłości. Lokatorzy od przypadku do przypadku dawali Steviemu nawet szylinga napiwku, a wyjątkowo hojny okazał się pan Verloc. Wszystko to nie przynosiło jednak zbyt wiele ani w sferze dochodów, ani perspektyw na kolejne lata, toteż gdy Winnie ogłosiła swoje zaręczyny z panem Verlokiem, jej matka nie mogła się nie zastanawiać – wzdychając i popatrując w stronę pomywalni – co się teraz stanie z biednym Stephenem.

Okazało się, że pan Verloc, który przygarniał do swojej szerokiej, dobrodusznej piersi wszystko, co dawał mu los, jest gotów wziąć chłopca do siebie razem z matką żony i jej meblami, najwidoczniej stanowiącymi cały rodzinny majątek obu pań. Rozdysponowano je możliwie najpraktyczniej po całym domu, a swoboda ruchów matki pani Verloc została ograniczona do dwóch pokoi od podwórka na pierwszym piętrze. W jednym z nich sypiał też nieszczęsny Stevie. Ostry zarys jego drobnej szczęki stał się w owym czasie trochę niewyraźny, gdyż zaczął ją porastać rzadki, przypominający złocistą mgiełkę puch. Chłopiec pomagał siostrze w obowiązkach domowych ze ślepym uwielbieniem i posłuszenie, ponieważ pan Verloc uważał, że jego młody szwagier powinien mieć jakieś zajęcie. W czasie wolnym Stevie cyrklem i ołówkiem rysował na kartce kółka. Oddawał się tej rozrywce z wielkim zapamiętaniem, rozkładając łokcie i pochylając się nisko nad kuchennym stołem, a przez otwarte drzwi salonu na tyłach sklepu od czasu do czasu z matczyną czujnością zerkała na brata Winnie.